Nr 6. Kraków, dnia 15 marca 1901 r. Rok II.



Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, Długa 34.
Wszelkie listy i przesyłki pieniężne należy adresować: **Szczepan Kurowski**, Kraków, Mikołajska l. 9.
Redakcya rękopisów nie zwraca, korespondencyj bezimiennych nie uwzględnia, listów nieopłaconych nie przyjmuje.
Listy reklamacyjne nie opieczętowane nie podlegają opłacie.

Warunki prenumeraty: Rocznie 6 kor., półrocznie 3 kor., kwartalnie 1 kor. 50 hal
Pojedynczy numer 30 hal.
Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.
Do nabycia w administracyi: ul. Długa l. 34, oraz we wszystkich agencyach dzienników.

Socyalno-polityczne reformy w praktyce.

Nieszczęśliwa, ale w humorystycznej literaturze popularnym typem stała stę figura kolejarza, 300 złr. rocznej płacy pobierającego. Ministrom, dyrektorom, kapitalistycznym wampirom jakby tłuczonem szkłem z powodu niej żołądki pucowano, jakby „glaspapierem" wycierano nią pospuszczane nosy tych panów, ktoto na każdym kroku w oczy, aż wkońcu zawstydzony i przyciśnięty do muru minister Wittek sam przyznał: Że płaca taka w samej rzeczy poniżej krytyki jest małą, do wyżycia nie wystarczającą, i że tę kategoryę minimalnej płacy, mimo przykrych stosunków finansowych, zniesie zupełnie, najmniejsza zaś gaża 350 złr. wynosić będzie. Lepszy rydz jak nic, pomyśleliśmy sobie, na razie niechaj będzie i 350 złr., a za kilka lat znowu coś wyszturmujemy. Ale ponieważ najsakramentalniejszym przyrzeczeniom ministeryalnym zbytecznie ufać nie należy, przeto poczęliśmy się przypatrywać z boku, jak też do wykonania swej reformy p. Wittek się zabierze.

A tuś mi bracie. To w ten sposób reformy się przeprowadza?

Znosi się wprawdzie minimalną płacę 300 złr.. ale natomiast do służby kancelaryjnej, telegraficznej, magazynowej, konduktorskiej, warsztatowej przyjmuje się dziennie płatnych robotników, którzy — uchowaj Boże — 300 złr. i kwaterowego nie dostają, ale 70, 80, 90 centów dziennie bez niczego. Przecież o tych ludziach nie było mowy, każdy z nich wprawdzie pisze, telegrafuje, wydaje i odbiera towary, jeździ pociągami, wali młotem albo pilnikiem charuje, ale to nie są żadni kanceliści, telegrafiści, magazynierzy, konduktorzy i werkmani, to są tylko robotnicy, którzy z czasem dekret dostać mogą, a wówczas niezawodnie 350 złr. dostaną. Z tym tylko wyjątkiem — jak mamy tego tysiączne przykłady — że na takie wspaniałe dekreta 6, 7 i dłużej lat czekać mogą, a mogą także takowych i wcale nie otrzymać. Alboż tego dawniej nie było? zapytają czytelnicy. Tak jest, było. Tylko że przed reformatorską erą prowizoryczni funkcyonaryusze mieli inne prawa, na które powoływać i opierać się na nich mogli. Paragraf 12 starej pragmatyki opiewał: „Przez złożenie egzaminów służbowych albo fachowych kandydat staje się zdolnym i dopuszczalnym do pełnienia samodzielnej służby, a zarazem nabywa pretensyę (Anwartschaft) do stanowczego obsadzenia go na posterunku". Paragraf zaś 15 obecnie obowiązującej pragmatyki, dotyczący tej samej kwestyi, tak się wyraża: „Złożenie egzaminu czyni kandydata zdolnym do pełnienia samodzielnej służby, natomiast nie nadaje mu żadnego prawa do obsadzenia go na tym posterunku". W dalszym ciągu, niejako w konsekwencyi dawnego paragrafu 12, egzaminacyjne przepisy pragmatyki, które wobec dzisiejszego § 15 nie mają żądnego znaczenia, zawierały następujące postanowienia:

Pomocnik warsztatowy (Werkgehilfe) otrzymywał stabilizacyę na 300 złr. po złożeniu egzaminu i 2-letniej służbie jako robotnik dzienny w warsztacie albo ogrzewalni.

Werkman, po egzaminie 300 złr., jeżeli 2 lata jako rzemieślnik w warsztacie albo ogrzewalni na dniówkę pracował.

Palacz, po egzaminie 300 złr., jeżeli 1 rok jako ślusarz maszynowy albo monter we własnym (kolejowym) albo obcym warsztacie na dniówkę pracował.

Konduktor pociągów ciężarowych, po egzaminie 300 złr., jeżeli odbył 6-miesięczną praktykę na dniówkę.

Sługa magazynowy (Magazinsdiener) po egzaminie 300 złr., po 2-letniej praktyce na dniówkę.

Telegrafista (Stationsaufseher für Telegraphendienst) po egzaminie 300 złr., po odbyciu jednorocznej praktyki na dniówkę.

Nie zachwycamy się bynajmniej tymi przepisami, a tem mniej płacą powyższą, przytaczamy jednakże takowe dla ilustracyi, w jaki to sposób minister Wittek te nędzne stosunki zreformował. Postąpił on, jak każdy inny wyzyskiwacz kapitalistyczny: zużytkował rezerwową armię robotniczą, obsadził nią początkujące posterunki służbowe, wyznaczył dla niej dniówki od 70 do 90 centów, które w drodze awansu (!) i „Verordnungsblattu" po 5 albo 10 centów lata całe się ciągną (Lohn-Erhöhung und Aufnahmsvormerkung), zniesione powyższe przepisy żadnymi nie zastąpił, ustanowił wprawdzie minimalną płacę 350 złr. nie wydawszy równocześnie postanowień, pod jakimi warunkami takową osiągnąć można. Wszystko to odbyło się w ciągu jego panowania cichaczem i przemycanym sposobem, tak, że dzisiaj posiadamy ogromną armię personalu tej kategoryi. „Reformom" zaś tym sprzyjały w wysokim stopniu zamieszki parlamentarne w Austryi, wskutek których zostały one przeoczone przez obrońców klas pracujących, tak, że teraz znowu wytężającej pracy potrzeba, aby stosunki te zepchnąć na właściwą drogę. Praca ta jednakże tylko ze współudziałem bezpośrednio interesowanych pożądane owoce przynieść może. Współudziałem zaś tym jest tylko organizacya. na to zaś niechaj się nikt nie opuszcza: „że już tam towarzysz Daszyński ministrowi porządnie nagada", bo jeżeli ktoś wierzy w siłę wymowy i argumentów towarzysza Daszyńskiego, to ten jeden najważniejszy jego argument najlepiej powinien sobie zapamiętać i według niego postępować: „K o l e j a r z o m p o z o s t a j e j e d n a t y l k o r z e c z d o z r o b i e n i a, w z i ą ć s i ę z a k a s a n y m i r ę k a w a m i d o r o b o t y i o r g a n i z o w a ć s i ę c a ł ą s i ł ą p a r y! Prawo pozwala na organizacyę, a denuncyantów, którzyby donosami starali się temu przeszkodzić, należy z całą bezwzględnością postawić pod pręgierz, trzeba ich odosobnić i unikać, jak zarażonych cholerą lub dżumą.

Kolejarze, jeżeli nie chcą całkiem zmarnieć, powinni i muszą wyrobić w sobie ów „esprit de corps" owego ducha solidarności, który jak to widzimy z przykładu we wszystkich krajach, tak doniosłe za sobą skutki pociąga. My w parlamencie, domagając się dla was sprawiedliwości, mamy bardzo trudne położenie, dopóki nie mamy za sobą was samych, połączonych w silną organizacyę. Trzeba legalnymi środkami zmusić poprostu rząd, aby się wami na seryo zainteresował. Gdy tu w Galicyi stanie 10.000 zorganizowanych kolejarzy, to wtedy nikt im się oprzeć nie będzie w stanie". (Z mowy tow. Daszyńskiego na zgromadzeniu kolejarzy we Lwowie 3 grudnia 1899).

Pasożyty.

VII. Stowarzyszenia spożywcze.

(Ciąg dalszy)

Ostatnim razem wykazaliśmy, że w takich korzystnych warunkach, w jakich znachodzi się stowarzyszenie spożywcze we Lwowie, stanowczo żadne inne podobne stowarzyszenie w Galicyi się nie znachodzi. Jest to droga, na której energiczny, troskliwy i sumienny zarząd wprost zdumiewające rezultaty osiągnąćby musiał. Stowarzyszenie to 8 lat już istnieje, dotychczasowy jego obrót pieniężny niespełna 1 milion złr. wynosi, a przy porządnie zorganizowanej gospodarce drugi milion wynosić mógłby. Przy takim obrocie i po tylu latach należałoby się spodziewać, że jeżeli już członkowie liche towary przepłacają, zaledwie 3% dywidendy pobierają, żadnych zwrotów nie otrzymują, że tam przecież bądź cobądź znaczny majątek znachodzić się musi. Tymczasem zaglądnąwszy do sprawozdania widzi się, że cała juszka i pietruszka przez tyle lat kapitalizowana wraz z inwentarzem 2.000 złr. wynosi. Przyjmując jednakże kredyt członków jako gotówkę, (pod tym względem nie ma bowiem najmniejszej obawy), to powyżej wykazanemu majątkowi 8.187 złr. długu należy przeciwstawić, czyli, że 6.187 złr. w majątku stowarzyszenia nie ma żadnego pokrycia, a zatem udziały członków w zobowiązanie to są zaangażowane, ponieważ zaś udziały członków 6.577 złr. wynoszą, która to kwota niemal sumie długów dorównuje, przeto majątek stowarzyszenia równa się zeru. I takie zero nie chcąc chodzić nago, przyobleka się w szumne wyrazy, które w każdorocznem sprawozdaniu odczytujemy. Frazesami chce się pokryć prawdziwie smutne położenie, wmawia się w tych największych biedaków, których się wszędzie nogami kopie: „że się spełnia dla nich jakieś trudne lecz zaszczytne obowiązki“, mówi się o „rozwoju stowarzyszenia, sanacyi stosunków“, wstydliwie wspomina się o „złodziej- stwach poprzedników,“ całą winę niepowodzenia na nich zwalając, o piekących długach“, „szczupłych dochodach“ etc., etc.

Przez 8 więc lat członkowie żadnych korzyści nie mają, w razie likwidacyi stowarzyszenia z udziałami swymi nigdy się nie zobaczą, a kto wie czy jeszcze i dopłacić do nich nie byliby zmuszeni. Natomiast po Lwowie najpotworniejsze pogłoski obiegają. W każdej bajce mieści się coś prawdy, wobec zaś smutnego powyżej opisanego położenia tego stowarzyszenia nic dziwnego, że prawdopodobieństwo tych pogłosek do znaczenia faktów się podnosi. Opowiadają sobie, że podczas gdy kredyt członków z kategoryi sług i robotników zaledwie połowie miesięcznej gaży dorównuje, to złotokołnierzowcy wiszą tam z długami kilkomiesięczne ich gaże przewyższającymi, wskutek czego w razie likwidacyi stowarzyszenia biedni członkowie, którzy nic nie pili i nie jedli, długi swoje rzetelnie spłacali i ograniczony kredyt mieli, za swych „kochanych“ przełożonych i opiekunów w nieskończoność płacićby musieli. Opowiadają, że towary pod względem jakości są znakomite, ale te tylko które zadłużeni panowie otrzymują. Dalej, że u niektórych członków zarządu wykwintne obżarstwo przekracza granicę zbytku, niestojącego w żadnym stosunku do urzędowych poborów. Że wreszcie sery, faski z bryndzą, marynaty, wędliny niedojedzone zepsuciu ulegają, podczas gdy miejsce ich nowe zapasy uzupełniają. Sama zaś administracya tego kramu bez strat, szwundu i należytości za przesyłki przy 80.000 rocznym obrocie 7.000 złr. kosztuje, z czego większa połowa na honorarya dla „bezinteresownych“ członków zarządu przypada. Dalszą pasożytniczą plagą mają być różne komisye, delegowane z łona zarządu, a czasem i nie zarządu celem wypróbowania nadesłanych przesyłek, a których ofiarą stają się zazwyczaj różne koniaki, wina i delikatesy. Tej sprawy zapewne dotycząca pozycya w rozchodach figuruje jako „szwund towarów“ w kwocie 1500 złr. Wartość zakupionych towarów wynosiła w 1897 r. 52.000 złr. Opakowanie zaś tych towarów aż 2000 złr. czyli 4% ich wartości kosztowało.

Tak nie po gospodarsku przedstawia się rzecz, porównując stosunek wartości towaru do jego opakowania. Przypatrzmy się jednakże tej kwestyi z innej strony. Na woreczkach robi konsum czysty interes: Nietarowany bowiem woreczek ustawia się na wagę i wysypuje się doń n. p. kawę, tyle aż, razem z woreczkiem jeden kilogram waży. Kilogram kawy kosztuje w konsumie 2.10 złr. kilogram zaś woreczków nabywa się po 25 do 30 ct., a zatem w tym wypadku woreczki po cenie kawy się sprzedaje, podczas gdy kupiec opakowanie bezpłatnie dodaje. A mimo to na każdym kroku spostrzega się „szwund“ towarów, „szwund“ udziałów, szwund“ zysków i inne „szwundy“ które w końcu zapewne „szwundem stowarzyszenia się zakończą.

(C. d. n.)

Z przestrzeni i warsztatów.

Kraków. Jakim okolicznościom Piasecki wyniesienie swoje aż do godności inspektora zawdzięcza, to wyjaśnił nam bliżej swojego czasu Pilawski, kiedy jeszcze na radykalizmie interesa robić próbował. Trafny sąd jego o swym najlepszym obecnie przyjacielu powtórzyliście swojego czasu w „Kolejarzu“, zresztą i bez tego fenomenalna ta, jak na zdolności Piaseckiego karyera, nie jest żadną tajemnicą. Ale natomiast jakież straszne początki musiał przechodzić ten potomek skrachowanego rodu szlacheckiego. Przywykłego w dzieciństwie do paniczykowania, „widziano potem nieraz nieboraczka jak wyciągał suche bułeczki z fraczka“, wzdychając do jakiejkolwiek pierwszej lepszej, byle szybkiej karyery. Nie szczęściło mu się też początkowo dyabelnie, a wspomnienia z Liska-Łukawicy i Chyrowa muszą mu nieraz zatruwać świadomość błogości obecnego dostojeństwa, zwłaszczą gdy tak wielu weteranów „pierwszej węgiersko-galicyjskiej kolei“ jak na złość pląta się jeszcze po różnych biurach galicyjskich dyrekcyi na podrzędniejszych stanowiskach.

I gdyby nie Błażowski, inspektor i kierownik ruchu kolei łupkowskiej, który go po różnych „nieprzyjemnościach“ do leluchowskiej kolei wpakował, kto wie czy perspektywa w ten sposób rozpoczętej „karyery“ tak ponętnieby się była przedstawiała. Piasecki sam wie najlepiej, co go czekało, dlatego też pyszałkowatość jego dziwnie impertynencką się wydaje.

I dzisiaj z powodu niefortunnej kampanii ze socyalizmem inspektorskie jego łoże nie jest różami wysłane. Socyalistom zachciało się poznać śmiałka, zajrzano mu pod przyłbicę i przekonano się, że to nie rycerz ale pachołek, z którym szlachetną bronią mierzyć się nie godzi, bo podobnie jak grubijanin grzeczność, samolub zaparcie się własne, łotr cnotę, ateusz wiarę w Boga, tak Piasecki honor za przesąd uważa.

Najbardziej dogadza mu protegowana przezeń „Czytelnia“, z której chciał stworzyć twierdzę antysocyalizmu i serwilizmu. Tymczasem dzieło to zwraca się przeciwko własnemu swemu twórcy. Bo ludzie, których nie łączą żadne wyższe cele, którzy przymusowo pod grozą niełaski albo podejrzenia o nielojalność i socyalizm dla świętego spokoju w przeważnej części są członkami, na schadzkach w tym lokalu, oprócz gry w karty, obrabiają gruntownie swego „honorowego“ prezesa. Gdyby nie przymusowe wkładki, urzędowo z poborów każdego funkcyonaryusza ściągane, to Czytelnia absolutnie by się nie utrzymała. Gwałtowi temu oprzeć się nikt niema odwagi, bo mu zagraża niełaska Piaseckiego. Szczególniej konduktorzy klasowi chodzą i żalą się pokątnie, że wbrew własnej woli rozporządzają się ich groszem, a otwarcie przeciw temu nadużyciu wystąpić się boją, aby ich od obsługiwania klas nie ściągnięto, wskutek czego, wyrażając się słowami znanego okólnika dyrekcyi krakowskiej, pozbawionoby ich możności „przynoszenia większych kwot do domu“ z tytułu różnych ułatwień, publiczności wyświadczanych. Czytelnia jest niby rzeczą prywatną, a Piasecki, jako „honorowy“ członek, rządzi w niej więcej, aniżeli wszyscy rzeczywiści czynni członkowie razem wzięci. Bez jego wiedzy nie śmie zapaść żadna uchwała, a wnioski, mające być dyskutowane, potrzebują jego zezwolenia i przechodzą przez jego cenzurę. O przebiegu każdego zebrania otrzymuje Piasecki szczegółowe sprawozdania. Znachodzi się więc w korzystniejszych warunkach, aniżeli policya, której na podobne zebrania prawo wstępu nie przysługuje. Prośby o skromne kilkuguldenowe zaliczki z funduszów stowarzyszenia, muszą być pisemnie Piaseckiemu przedkładane i dopiero po jego zezwalającym dopisku wypłata tychże uchwaloną być może. Prawda, co to za wspaniała konstytucyjna wolność stowarzyszeń i zgromadzeń? Czytać członkom wolno tylko takie pisma, na które Piasecki zezwoli, przyczem powołuje się na biskupa, że tenże ogromnie był zgorszonym, dowiedziawszy się swego czasu, że w Czytelni „Naprzód“ prenumerowano. Ponieważ jednak zakazany owoc ogromnie smakuje, więc chociaż po przemowie Piaseckiego „Naprzód“ i „Kolejarza“ podarto w strzępki i przez okno wyrzucono, to natomiast w administracyi i agencyach tych czasopism ci sami wierni poddani stali się najwytrwalszymi odbiorcami kilkudziesięciu egzemplarzy, które też im poczynają wychodzić na zdrowie. Tak więc o wolności słowa, stowarzyszeń i zgromadzeń pod rządami Piaseckiego czytelnicy nasi wyrobią sobie niezawodnie bardzo korzystne pojęcie.

Znaną jest wszystkim afera konduktora Nogi, któremu Piasecki polecił wpisanie się do organizacyi w tym celu, aby takową szpiegował, podobną misyę otrzymał już w nowszych czasach nadkonduktor Średniawski, który jednakże tej „zaszczytnej“ propozycyi nie przyjął.

W listopadzie r. z. umieścił „Naprzód“ w kronice artykulik, omawiający intrygi Piaseckiego. W sprawie tej odbyła się kilkugodzinna konferencya między Pilawskim a jego „ubóstwianym“ przełożonym, następstwem której czytaliśmy w „Naprzodzie“: „Spółka Piasecki, Pilawski, Lewicki prostuje“. Sprostowanie owo, któremu „Naprzód“ dorobił powyższy tytulik, było dziełem Pilawskiego i okazało się publicznem kłamstwem, Średniawski zaś i Fronc z namowy Pilawskiego a z obawy przed Piaseckim takowe, jako prostujący, podpisali. Piaseckiemu nie spodobał się tytulik powyższego sprostowania, nalegał więc na Fronca i Średniawskiego, aby ponowne sprostowanie podpisali, albo kroki prawne przeciw „Naprzodowi“ przedsięwzięli. Tym razem jednakże nawet tak trwożliwi ludzie, jak dwaj wzmiankowani nadkonduktorzy, zebrali się na odwagę i wszelkiego dalszego sprostowania odmówili.

Zawiódłszy się na „Czytelni“ ze względu na to, że i tam o nim rozprawiają, Piasecki, pod pozorem, że stowarzyszeńko to niemoralnie się prowadzi, odgrażał się już kilka razy, że o rozwiązanie jego się postara. Utrzymują, że ostatnia jego podróż do Lwowa (7 marca) ze sprawą tą w związku stoi, zwłaszcza, że 18 marca mają się odbyć nowe wybory do zarządu „Czytelni“, z okazyi których, jak na stosunki czytelniane, na radykalniejsze reformy się zanosi. Coś musi być na tem, skoro jeden z członków wpisał do książki zażaleń, że ze strony Piaseckiego „Czytelni“ rozwiązanie zagraża, wskutek czego wzywa się zarząd do poczynienia kroków zapobiegawczych. A więc jeszcze jedną cenną zaletę Piaseckiego mielibyśmy do zarejestrowania!...

Człowiekowi temu wydaje się, że socyaliści nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko po knajpach wysiadywać i podsłuchiwać, jak „ubóstwiający“ go podwładni o nim rozprawiają, dlatego upomina ich zawsze, aby do lokali, bliżej stacyi położonych nie uczęszczali. „Idźcie sobie gdzieś na Kazimierz, n. p. do Józefa i tam się bawcie, tylko mi tu nie wysiadujcie, bo wiecie, że tu przychodzą różni ludzie“ — mawia Piasecki, Widocznie więc, że nie rozchodzi mu się o zasadę, ale o niestykanie się z ludźmi, w imaginacyi jego na sensacyjne nowinki czychającymi.

Tymczasem zbliżał się termin procesu Fronca, Średniawskiego i Ziętkiewicza, w którym Piasecki nie wiedzieć jak i skąd, przez żadną ze stron spornych nie powoływany, znalazł się w roli świadka, przeciwko czemu obrona zaprotestowała, Piasecki jednaże mimo to do składania zeznań został przypuszczonym. (C. d. n.)

Rzeszów. Wiadomo wszystkim, że Brežany jest niedokończonym słuchaczem medycyny, a licho tam wie, jakim cudem stał się inżynierem (!) mechaniki, dosyć jednakże na tem, że studya medyczne jego mają nieocenioną wartość dla zarządu kolejowego. Ot n. p. niejeden maszynista albo palacz mógłby sobie spokojnie pochorować, ale chorujże tu-

taj niebożę, kiedy ten miły człowiek zna się na wszystkiem, a nawet dyplomowani lekarze przed powagą jego wiedzy zamilknąć muszą. Przedewszystkiem chorować nikomu nie wolno, bo Brežany zaraz grozi przeniesieniem, jak to miało miejsce z maszynistą Błażowskim, który w Przeworsku przy ładowaniu węgla na tender z braku ludzi do pomocy spadł z rampy i wytchnął sobie rękę, wskutek czego 18 dni chorował. A z doktorem Bendą w Dembicy mało się nakonferował Brežany, aby chorego maszynistę Bytomskiego do służby napędził. Szczęście jednakże, że dr. Benda należy do ludzi, u których wiara we własną wiedzę i doświadczenie lekarskie nie dadzą się zachwiać urokiem złotego kołnierza. Rad nierad musiał tedy Brezany na własny sposób leczyć Bytomskiego, grożąc mu przeniesieniem. Bytomski, mimo orzeczenia lekarskiego, zląkł się, wstał, a ledwie łażąc wydrapał się na maszynę i pojechał. Czyż to nie rozmyślne prowokowanie nieszczęścia?...

W zeszłym roku dozorca wodociągów w Dembicy ś. p. Balayn zmarł w służbie przy obsługiwaniu stabilki. Od dłuższego czasu był on chorowitym, bał się jednakże chorować, w pompie więc ducha wyzionął. Brežany, który był właśnie dnia owego w Dembicy, pobiegł do pompy o $2^1/_2$ kilometra oddalonej, aby przekonać się, czy Balaryn śmierci może nie symuluje. — Nie wiemy, do czego to doprowadzi, jeżeli gospodarka Brežanyego dalej potrwa, bo proszę sobie wyobrazić: Naczelnik oddziału maszynowego i mechanicznego, niedokończony medyk, maszyniści wodociągowi żydowskie woziwody, ślusarzami organiści, a partyę ślusarską prowadzi kiepski murarz. Po jakiego więc djabła uczy się człowiek różnych zawodów, kiedy przy takiej instytucyi, jak kolej, obejść się bez nich można? Ale czy na długo i do jakich granic? Ale natomiast bez prawników, no, toby się świat skończył, gdyby miejsc dla nich zabrakó. A co to za prawnicy, trzeba wiedzieć! Niezawodnie jako samodzielni n. p. adwokaci musieliby z głodu poumierać. Nic też dziwnego, gdy się wie, że systemy administracyjne mędrków nie lubią, a do wypełniania druków i sztubackie wykształcenie wystarczy.

Jarosław. Jak było do przewidzenia, wzruszająca uroczystość imienin Wintuszki odbyła się z pompą i sentymentalnym nastrojem, odpowiadającym tej pamiętnej chwili. Po uroczystości tej Wintuszka z łaskawością monarchy wypisał kredą na tablicy: „Do moich P. T. podurzędników, służby i robotników w stacyi Jarosławiu“. (A gdzie urzędnicy? *przyp. red.*). „Za dowody życzliwości ofiarowane mi w dzień moich Imienin z Waszej strony, dziękuję wam z całego serca: Szczerem, serdecznem Bóg zapłać. Jarosław 6/3 1901 *Wintuszka*“. — Aczkolwiek pióro nasze za słabe, aby chwałę dnia tego godnemi głoskami szerszej publiczności przekazać, mimo to ze względu na nasz obowiązek kronikarski podjęliśmy się tego trudnego zadania.

Aranżerem był naturalnie „Pomarańczowy“. — Od dłuższego już czasu zauważono, że na coś wielkiego się zanosi. Widywano, jak „Pomarańczowy“ jakieś wielce tajemnicze szepty prowadził, jak z szyberami, pucerami, robotnikami coś konferował, to znowu jak brał jakieś korony. Innego dnia znowu widziano go jak zdążał do kościoła O. O. Dominikanów, jak rozpromieniony wracał i jakieś pieniądze przeliczał, jak wstępował do różnych szyneczków etc. etc. Wszystkie owe zagadkowe, a nawet świątek kolejowy niepokojące praktyki przestały go dręczyć dopiero dnia 4 marca t. j. w dzień imienin Wintuszki, gdyż okazało się, że to były przygotowania do uroczystości.

Za pewną część złożonych pieniędzy zamówił „Pomarańczowy“ nabożeństwo u O. O. Dominikanów, zaprosił na nie Wintuszkę, „bracia“ zjawili się gremialnie, u wstępu kościoła organista poczuwszy zalatującą woń alkoholu, przestrzegał, aby wypadkiem nie narobiono mu świństwa jak w Nowy Rok, wskutek czego Dygdała jakieś dziwnie impertynenckodrwiące spojrzenia „współbraci“ znosić musiał. Cała owa pobożna kompania składała się z nocnych stróżów, szyberów, robotników magazynowych i dwóch podurzędników Brodowicza i Schwarza, których „Pomarańczowy“ w czerwone sukmany i białe komże poubierał, sam zaś „Rudy judasz“ do mszy służył. Po nabożeństwie odprowadzono Wintuszkę do domu. Odetchnąwszy u siebie w mieszkaniu, zeszedł potem Wintuszka na dół do biura, aby przyjmować życzenia. Dygdała ku wielkiemu zgorszeniu Laszczyka zapomniał mowy, język skołczał mu ze wzruszenia czy też wódki i ani słówka nie pisnął. Łokciami więc wysztурkano naprzód Brodowicza, ten zaś znalazłszy się w tak nieprzewidzianej sytuacyi, zabełkotał coś, czego ani Wintuszka ani zgromadzeni nie zrozumieli, wkońcu zaś ratując się z nieszczęśliwego położenia ryknął straszliwym głosem „Mnohaja lita“. Wiara zawtórowała mu, Wintuszka załzawiony słuchał tego barbarzyńskiego chóru, urzędnicy w przyległych ubikacyach ze śmiechu się kładli, podarunku ze strachu przed „Kolejarzem“ Wintuszce żadnego nie wręczono. Taki miał koniec ów pamiętny dzień w Jarosławiu.

Przemyśl. Znanemu machcrowi przemyskich klerykałów, wydziałowemu „Gwiazdy“, denuncyantowi robotników warsztatowych, który pełni w warsztacie kolejowym, dzięki swemu lizuństwu i szarpania czci uczciwych robotników — funkcyę werkfirera w oddziale malarzy, robotnicy warsztatowi zarzucili publicznie kradzież szyb kolejowych, któremi oszklił bibliotekę „Gwiazdy“. Miało to miejsce w chwili, gdy Dmytrowski zarzucił robotnikowi Lewickiemu kradzież materyałów kolejowych. Dmytrowski z zarzutu się nie oczyścił ani nikogo nie skarżył. O całem zajściu wie Bartelmus.

W poniedziałek 11 lutego b. r. w czasie roboczym werkmistrze Markowski, Cehak i Dmytrowski zapijali się w poczekalni III-ej klasy na dworcu kolejowym, I o tem wie Bartelmus, jednakże patrzy na to przez palce. Natomiast robotnicy przez gagatków tych o kilkuminutowe spóźnienie oskarżeni, bywają do odpowiedzialności pociągani.

Tak samo postępuje i Krajewski, który nadto, aby dokuczyć robotnikowi, zamiast spóźnienie sam przyjąć do wiadomości, każe mu się zgłaszać do nadinżyniera Eberharda albo samego Bartelmusa. Tenże Krajewski szaleje także na punkcie urywania i obkrawania robotnikom ich zarobków przez kreślenie 2 albo 3 godzin ponad unormowany czas pracy zarobionych. Kanały zbiornikowe w szopie, do których różne brudne ciecze spływają, jakoteż zmieszane z niemi mydliny, tłuszcze i inne odpadki rozkładowi ulegają, kilka lat nie są już czyszczone, wskutek czego powietrze jest tak ciężkie i smrodliwe, że przysłowie o zawieszeniu siekiery niemal dosłownie zastosowaćby można.

Stanisławów. Przypuściwszy nawet, że śledztwo i jurysdykcya dyscyplinarna wogóle są nader ludzkie, bezstronne i postępowe, że kary wymierzane przez izby dyscyplinarne są bez zarzutu i wzorem wymiaru sprawiedliwości, które mściwe temperamenta kacyków nie zawsze zadowalniają, to dla samej lojalności wobec przepisu i dla powagi izb dyscyplinarnych mściwa taka kreatura z wyrokiem ciała dyscyplinarnego pogodzić się powinna, a nawet jest to jej psiem prawem i obowiązkiem, nad którym wszelka dyskusya ustaje. Rozważywszy jednakże, że izby dyscyplinarne dalekiemi są jeszcze od owej idealnej bezstronności, że wszelkiego rodzaju namiętności potentatów kolejowych w dyscyplinarnym wymiarze kary znachodzą już dostateczne uwzględnienie i zadośćuczynienie — to jest to wprost potwornem postępowaniem, jeżeli mimo wszystko ofiarę dyscyplinarnie już ukaraną wydaje się jeszcze na dodatkową pastwę bezgranicznej złośliwości całej przełożonej chierarchii. Najsurowszy wyrok dyscyplinarny w porównaniu z długotrwającem i lata ciągnącem się pastwieniem takiego pierwszego lepszego kacyka drobnostką jeszcze nazwaćby można, chociaż — pomijawszy utrapienia moralne — najłagodniejsza kara dyscyplinarna, bo nawet nagana, materyalną stratę kilkuset guldenów za sobą pociąga.

Traczewski, znany i wypoliczkowany bohater z afery Pytlowanego w Przemyślu, zrobił doniesienie na kilku konduktorów stanisławowskich, że z powodu szczęśliwych wyborów w pewnej grupie wyborczej, ludzie ci pod wpływem radosnego usposobienia przekroczyli miarkę i znaleźli się w służbie w podchmielonym stanie. W obronie takiego przewinienia i my stawać nie możemy. Ale stało się. P. Wittek układając pragmatykę, postarał się o taką konstrukcyę, skład izby dyscyplnarnej i określenie winy, że przez taki alembik ani cień przewinienia prześliznąć się nie może. Wytoczono więc dyscyplinarkę, odbyła się rozprawa, powołano świadków pod przysięgą służbową zeznających, wydano wyrok, dyrektorowi przysługiwało prawo sprzeciwu, wszystko więc odbyło się po formie i według przepisu. Przewinienie zaś nie musiało być tak wielkiem, skoro delikwenci naganą zostali ukarani. Wyrok jest rzeczą świętą i nietykalną, ale nie dla inspektora Stelzera, który na punkcie sprawiedliwości, prawomocności wyroków i ludzkości jest niezawisłym człowiekiem. Co jego takie przesądy obchodzą? Sąd, sprawiedliwość, przepis, władza — to ja — pomyślał — kara dyscyplinarna sobie, a ja znowu sobie pohulam ze zbrodniarzami. I wziął się z zakasanymi rękawami do sprawiania ofiar: Wyrok dyscyplinarny zapadł jeszcze 26. stycznia b. r., a Stelzer dopiero 21. lutego służbę robić im pozwolił. Kierownika pociągu aż o 3 stopnie zdegradował, bo do najniższej służby konduktorskiej przy pociągach ciężarowych, to jest do obsługiwania hamulca, aby więc od tego rozpoczynał co przed kilkunastu laty zaczął. Jest to dopiero początek prześladowania, będziemy zaś pilnie śledzić, jakim będzie ciąg dalszy. Z oburzenia krew uderza do skroni, a na myśl nasuwa się cycerońskie pytanie: „Jak długo nadużywać będziesz cierpliwości naszej“!... Bo wierzcie nam bezduszni automaci, że wszystko ma swoje granice.

Buczacz. Trzeba przyznać, że tutejsi robotnicy konserwacyi nie są tak konserwatywni jakby sobie tego ich władcy życzyli. Wykurzyli oni już stąd nadinżyniera Nelkena, (znanego klasycznego świadka z procesu Sozańskiego, w którym dyrekcyjne organa śledcze i kolejowy system śledczy ze szczętem skompromitowane zostały). Na miejsce Nelkena przyszedł nadinżynier Artur v. Kliment, ale gospodarka i tego pana pozostawia wiele do życzenia, zwłaszcza, że tenże jest tylko firmą, podczas gdy banmistrze co chcą, to wyprawiają, on zaś nie ma ani energii ani odwagi, aby rządom ich kres położyć. Z płacą 1 złr. dziennie, jako dyetaryusz biurowy, został tutaj przyjętym niejaki Walery Popławski. Po dwóch dniach zajęcia biurowego przeznaczono tego człowieka do nadzorowania partyi robotniczej dla tego, aby banmistrz pan Michał mógł się wywczasować i poobiednią drzymkę sobie urządzić. Przydzielony do tej zaszczytnej funkcyi Popławski, otrzymał następujące przestrogi: Jeżeliby się w stacyi jacyś dygnitarze niespodziewanie pojawili, aby się skrył do mysiej dziury i nie poważył na świat boży pokazywać. Następnie aby przywdział na siebie jakie stare połatane łachmany, gdyż będąc przyzwoicie ubranym, zwracałby na siebie uwagę i na robotnika za inteligentnie wyglądał. Dalej aby z robotnikami obchodził się energicznie, ostro ich trzymał i do roboty naganiał, ale przytem miał się na ostrożności, bo to niebezpieczni ludzie, którzy już Nelkenowi kark skręcili, a szczególniej, aby się wystrzegał Radwańskiego, gdyż ten duzo wie o Nelkenie i gdyby mu tak przyszło protokół pod przysięgą składać, to kto wie, jakby zeznania jego wyglądały. Jako dozorca robotników, Popławski obowiązanym jest rano do 8 godziny wyczekiwać w kuchni na dyspozycye banmistrza Czekałowskiego, które mniej więcej brzmią następująco: „Dzisiaj pójdziesz pan za słoniną do Medwedowiec, bo tam jest tańsza jak w Buczaczu, albo, pójdziesz pan na wieś wyszukać mi dobrą krowę, bo te cztery w stajni do niczego, albo w końcu masz pan tu kupony do rozsprzedania na widelce, łyżki albo inne kosztowności“. Największe utarczki musi Popławski staczać z Czekałowskim o to, utrzymując, że wyrzucanie gnoju z pod krów, rżnięcie sieczki i t. p. do robót konserwacyjnych nie należy, podczas gdy pan Michał przeciwnego jest zdania. W nadziei więc, że niniejsza korespondencya do rozjaśnienia tej spornej kwestyi się przyczyni, podpoisani o zamieszczenie jej upraszają.

Nowy Sącz. Dnia 25 lutego b. r. zmarł tutaj jeden z najdzielniejszych naszych towarzyszy Robert Klehr robotnik warsztatowy. Była to cicha i gołębia natura bezustannie zajęta i oddana sprawie robotniczej. Ś. p. Klehr pożegnał się z tym światem w bardzo młodym wieku, bo zaledwie 22 lat liczył. Cześć jego pamięci! — W III ślusarskim oddziele tutejszego warsztatu zagrażają nam wszystkim suchoty, każdy żali się na początki jakichś dolegliwości piersiowych i oddechowych, przyczyną zaś tego jest brak wentylacyi o którą doprosić się nie można. Nikt nie uwierzy co to znaczy w praktyce brak powietrza, gdy się ten brak natychmiastowo odczuwa, i gdy to, co nam z teoryi wiadomo, że odbywa się w drodze dłuższego procesu i omal nieświadomie, to tutaj dotykalnie w tej samej chwili ma się świadomość, że jest się mordowanym. Wystarczy zaś, gdy dodamy, że 3 do 4 kuźnie polowe zwykłym węglem kamiennym zaopatrywane, w bezustannej czynności się znachodzą. Stawać zaś w obronie własnego życia i zdrowia, to zaraz gwałt: „O, widzisz go, socyalista, nie da się spokojnie torturować, trza mu przypomnieć dyscypline!“

Dnia 5-go marca został tutaj podczas przesuwa-

nia wozów przejechany przesuwacz Ciężkowski, nogi pokaleczone, żebra połamane, słaba nadzieja już nie zdrowia ale nawet życia, bo o pierwszem nie ma co mówić. Winę ponosi sam Horoszkiewicz, zniósł on bowiem trzecią partyę przesuwaczy, wskutek czego dwie partye po 24 godzin służbę robią. Nadto dla pośpiechu, zakaz sprzęgania toczących się wozów nie przestrzegany, a urzędnicy przez palce na to patrzą.

Dr Kijas to najnowsze wydanie lekarza kolejowego w Stanisławowie ś. p. Czesnaka, którego za brutalne obchodzenie się ze zbrodniarzami posady lekarza więziennego pozbawiono, a dla których to zalet Wierzbicki zamianował go lekarzem kolejowym. Eskulap ten postawił sobie za zadanie nie uzdrawiać, ale głodzić ludzi, gdyż w kartach dla chorych po największej części pisze tylko „dienstfrei“ w obec czego kasa chorych żadnych należytości wypłacać nie chce. (Bezprawie i ze strony lekarza i kasy chorych, przyp. red.). Słabemu wygłodzonemu nie pozostaje więc nic innego, jak tylko nie oglądając się na następstwa przedwcześnie do służby się zgłaszać. Natomiast złotokołnierzowemu panu wystarczy jeżeli go ktoś delikatnie za drzwi wyrzuci, aby ciężko chorował i lekarz separatkami go odwoził, bo świat by się skończył, gdyby o jednego darmozjada mniej było. Na tak liczny personal w Nowym Sączu Kijas wyznaczył sobie tylko 1 godzinę ordynacyjną dla kolejarzy t. j. od 8 do 9 rano, po tej godzinie choćby kto miał skonać, to go nie przyjmie, poczekalni nie ma żadnej, a biedni chorzy w sieni marznąć muszą.

Zarszyn. Kozłowski, który niedawno temu z wachmistrza zamienił się w banmistrza, ciągle jeszcze żyje w tem przekonaniu, że ma z końmi i parobkami do czynienia. Jeżeli już delikatnie nawołuje robotników to pieszczotliwymi wyrazami: „Chorobo, byku, złodzieju“ i t. p. Dnia 7-go b. m. stolarz niejaki Ciurega przyszedł do stacyi w Zarszynie. Ni stąd ni z owąd przypadł doń Kozłowski i począł go obsypywać obelgami „baciarzu, złodzieju, sk....synie“ a gdy stolarz oddając piękne za nadobne odpowiedział mu, że te zaszczytne predykaty raczej Kozłowskiemu przysługują, ku zgorszeniu robotników i stron prywatnych rzucił się ten nieokrzesany żołdak na powyższego obywatela z żelazną szufelką i kto wie jakie razy byłby mu zadał, gdyby pewien żyd kupiec z Jaćmierza swą osobą nie był go zasłonił. Więc do tego już doszło, że ludzie na dworzec kolejowy nie śmią się pokazać, bo tam pierwszy lepszy drab i drągal, któremu w głowie pomieścić się nie może jakim cudem dochrapał się banmistrzowstwa, gotów ich pomordować?

KRONIKA.

Tania restauracya kolejowa jest czemś tak niezwykłem i niemożliwem w Galicyi, jak n. p. wschód słońca o północy albo rumieniec wstydu na obliczu galicyjskiego mandaryna kolejowego. A przecież ta niewiarygodna niemożliwość jest faktem, bo jadłodajnia taka znachodzi się na dworcu kolejowym w Zagórzu. Przed kilkunastu dniami Wierzbicki, objeżdżając swoje królestwo ku nieopisanej radości swych wiernych poddanych, ze świtą, stanowiącą wraz z nim 14 porządnie wygłodzonych mużów, w porze obiadowej zawitał do Zagórza. Zaczęło się jak zwykle, co kto chciał, od wódeczki, koniaczka, albo wytwornego likieru zakąsywanych szynką, marynatą lub pasztecikiem. Poczem nastąpił obiad, składający się z rosołu, silnym, wzmacniającym bulionem zaprawionego, sztuki mięsa z dodatkami, dwóch pieczeni, z których jedna zapewne z drobiu albo dziczyzny, i z dwóch legomin. (Wierzbicki lubi pasyami pierożki ze syrem i śmietaną, za informacyę tę powinien nas ozłocić każdy restaurator kolejowy, *przyp. red.*). To wszystko zakrapiało się piwem, a przeważnie winem, do uzupełnienia zaś błogości uczucia zaspokojonego głodu posłużyła czarna aromatyczna kawa, rozdymająca niecnotliwemi pożądliwościami nozdrza proletaryatu obok w III-ej klasie tytoniową bagę przeżuwającego. Wszystko to jednakże głupstwo wobec tego, że obiad taki w Zagórzu podobno tylko 14 złr. kosztuje, a fundę sam Wierzbicki sprawiał. Po takim obiadku da się już coś wytrzymać i niejedną zgryzotę służbową strawić. Swoją drogą, że także i Wierzbicki ma szczęście do tanich a dobrych obiadów. W klubie maszynistów lwowskich albo „Czytelni kolejowej“ mało on to się różnych przysmaczków nałykał, którymi naiwni członkowie groźne to stworzenie obłaskawić usiłowali, ale ponieważ to do rzeczy nie należy, więc kończymy naszą reklamę dla restauracyi w Zagórzu, polecając takową wygłodzonym kolejarzom. Ciekawi jednakże jesteśmy, czy przy tej okazyi Wierzbicki zaglądnął także i do koszar konduktorskich w Zagórzu. Ale gdzieżby tam, żeby sobie zapchlił salonkę i samochcąc skazał się na katusze bezsennego trawienia ?

Niewykonalne polecenia. Okólnikiem L. 10005/V z 14/2 1901 z powołaniem się na równobrzmiące rozporządzenie ministeryalne c. k. Dyrekcya kolei państw. we Lwowie przestrzega surowo personal pociągów osobowych, aby w korytarzykach wagonów osobowych podróżni żadnych pakunków nie zostawiali, a właściwie takowe jako przyboczny pakunek podróżny w ten sposób przewozili. W razie przydybania takiej nieprawidłowości dotyczący konduktor surowo zostanie ukaranym. Na rozporządzenie takie zgadzamy się w całej jego osnowie, ale nie w Galicyi. Co do chłopa głodomora, to ten pakunków ze sobą nie wozi. Żyda naszturkają, nasobaczą mu, nawymyślają, nagrożą dopłatą, policyantem albo żandarmem i sprawa załatwiona, więc co się tyczy tych ludzi, 80 procent pasażerów stanowiących, to z ich powodu nie zachodzi najmniejsza obawa niewykonalności powyższego rozporządzenia. Ale niechnoby taki konduktor pozwolił sobie „zaczepić“ galicyjskiego szlachcica, tu na jego „własnej galicyjskiej ziemi.“ Wieżo z kości słoniowej! A tożby się dopiero ubrał, żeby mu aż do samej śmierci wystarczyło. Wjeżdżając do stacyi, takiego pasażera szlachcica z daleka się już poznaje. Pan naczelnik, czy ma czy nie ma służby, sam wówczas urzęduje, wysila się na różne grymasy i wykrzywiania twarzy, mające oznaczać cześć, uwielbienie i nadzwyczajną radość z tak niezwykłego gościa, odprowadza go do najwygodniejszego wagonu, sam często gęsto odbiera futra, koce, pakunki, walizki od lokajów, furmanów i pakierów, ustawia je a na uboczu przestrzega konduktora: „Panie uważaj pan, bo to jaśnie wielmożny X albo Y, żebyśmy jakiego świństwa nie mieli“. I tu „Erlass“ żąda, aby taki „marny“ konduktor wszechwładnego galicyjskiego szlachcica na jakieś tam rozporządzenia uważnym czynił, albo, co gorsza, do zastosowania się do nich wzywał. „Nie ma głupich“, kawałek chleba miłym jest każdemu, lepiej jedne albo dwie korony kary zapłacić, aniżeli samemu sobie nóż do gardła przykładać. Niejedna harda i rogata dusza pokusiła się już o to, aby dumnych panków respektu dla obowiązujących przepisów nauczyć, ale zazwyczaj kończyło się na tem, że śmiałka takiego ukarano grzywną, dyscyplinarką, ściągnięciem do pociągów ciężarowych, albo przydzieleniem do innej służby. Niechby tylko Wierzbicki albo Horoszkiewicz popróbował kiedy sam wdać się w taką sprawę, a przekonałby się, że za kilka tygodni ze swego urzędu by wyleciał. Ażeby przepisy były należycie wykonywane, trzeba się u góry o to troszczyć, aby wykonawca przepisów u dołu przed teroryzmem stanowym i kastowym był należycie zabezpieczonym.

Judaszowskie srebrniki. Przemyski komendant korpusu jenerał Galgotzy wyjeżdża często do Wiednia, gdzie nieraz 2 albo i 3 tygodnie bawi. Dyrekcya lwowska dostawia na ten cel wóz salonowy, który aż do powrotu jenerała wraz z przeznaczonym do obsługiwania tego wozu konduktorem we Wiedniu pozostaje. Za cały ten czas przeznaczony funkcyonaryusz dyety, czyli — aby nie ubliżyć godności tych należytości, którym tylko odnośnie do urzędników tą zaszczytną nazwą tytułować się wolno — „strawne“ pobiera. Wszystko to byłoby w porządku, bo i salonka p. Galgotzyemu się należy i taki kosztowny wóz troskliwej opieki i nadzoru potrzebuje, tylko to nie może pomieścić się nam w głowie, skąd przychodzi do tego Franciszek Rauchbergier, który nie jest ani sługą ani konduktorem, lecz przeciwnie podurzędnikiem i komendantem przesuwaczy wozów, dyeta zaś jego aż 3 złr. dziennie wynosi. Skąd przychodzi Rauchbergier do tego, aby sprzeczną z jego zawodem funkcyę wykonywał, podczas gdy ze względu na „oszczędność“ i „kredyt“ jak nam to ślicznie p. minister Wittek w swym ostatnim razem przez nas ogłoszonym okólniku wyłuszczył, przez użycie tańszych sił kompetentnych, kosztem 1.50 do 2 złr. obsługiwanie salonki uskutecznićby się dało ?

Kto zna przemyskie stosunki, naczelnika Szyjkowskiego, tutejsze klerykalne wpływy zakulisowe, kto wie, że Rauchbergier jest jednym z najmilszych „braci“, dla tego nie jest żadną tajemnicą, dlaczego ten jak wieprz opasły przyjemniaszek mimo swej nieruchliwości i słoniowatości na dyetki — pardon! „strawne“ — a zapewne i chojny napiwek bywa wysyłany. Już sama ociężałość tego człowieka przemawia przeciw temu, aby tak „dostojnego gościa“ powierzać służbowej jego opiece, a cóż dopiero niekompetencya, egzamin, oszczędność i kredyt powiedzą na to? Dodać zaś należy, że Szyjkowski jako troskliwy i uczciwy przełożony mógłby przecież ta nim sposobem, od czasu do czasu dać możność swoim podwładnym zwiedzenia stolicy państwa, bo wielu jest takich, którzy po za granicę Galicyi ani nosa jeszcze nie wytknęli.

Egzamin redaktorski złożył nasz „przyjaciel“ p. Jarek, ale nie w sposób jak to radził redaktorowi „Kolejarza“, aby przez jakichś starych durniów wypytać się kazał. Dowód swych redaktorskich zdolności złożył on w swej nieocenionej ścierce „Głosie kolejarza“, i tak:

P o l e m i k a d z i e n n i k a r s k a to zdaniem nieoszacowanego p. Jarka jest walenie kogoś po gębie za różne łajdactwa, których, dajmy na to, wspólnikiem jest wielce czcigodny p. Jarek.

D e b i u t p o c z t o w y odebrać, to, zdaniem p. Jarka koncesyonowanym pismom wychodzącym w kraju, które nie uległy konfiskacie, odmówić rozsyłki pocztowej.

P o t ę g a j e d n o ś c i, to znaczy słuchać denuncyantów, oszustów, p. Jarka i Guttmana.

A r t y k u ł e k o n o m i c z o - s p o ł e c z n y, to znaczy dać się pokornie okradać różnym kapitalistycznym wyzyskiwaczom i ich posiepakom, chwaląc, że taki ustrój społeczny jest idealnym.

K o n f i s k a t a n u m e r u, to znaczy psuć sobie głowę, coby tu napisać, aby przecie raz doświadczyć uczucia, jakiego na niespodziankę taką się doznaje, a przytem aby nie dostać się „do kozy.“

S p r o s t o w a n i e, to znaczy nie mieć pojęcia o § 19 ustawy prasowej.

H o n o r i t a j e m n i c a r e d a k t o r s k a, to znaczy na jednem miejscu zapewniać kogoś, że do redakcyi „Głosu kolejarza“ z całem zaufaniem zwracać się należy, a o kilka wierszy niżej w tem samem czasopiśmie zdradzić autora korespondencyi, dajmy na to: Wauatowicza. Sądzimy, że teraz czytelnicy uwierzą w zdolności redaktorskie p. Jarka! Dla naocznego zaś przekonania się polecamy im przeczytanie 3-go numeru “Głosu kolejarza“, z dnia 1-go lutego b. r.

Koszary konduktorskie w Dębicy są jedną. z owych nor, które nadawałyby się raczej dla chwilowego przytrzymywania zbrodniarzy, aniżeli na miejsce wypoczynku dla ludzi służbą znurzonych. Są one umieszczone w budynku wodociągowym, a tak wysokie, że ich nigdy dostatecznie ogrzać się nie da. Z pieca żelaznego dymi się, pościel brudna, po kilka tygodni nie zmieniana, obsługi prawie żadnej Najnieprzyjemniejszą zaś rzeczą jest to, że przedpokój bywa używanym do składania wszystkich nieboszczyków, którzy kiedykolwiek w służbie kolejowej zabici zostaną. Każdy może sobie wyobrazić, jak przyjemnie zasypiają ludzie, którzy na spoczynek przez trupiarnię przechodzić muszą i mają świadomość, że tam obok spoczywają snem wiecznym ofiary nieszczęśliwego zawodu, przypominające im, że i ich podobny koniec lada dzień spotkać może.

„Sparrsystem“. W warsztacie krakowskim oszczędza się ogromnie na personalu, na jego awansach, stabilizacyi, godzinach nadprogramowych, strawnem i t. p. Natomiast co do materyałów tej samej gorliwości oszczędnościowej nie da się zauważyć. Z braku odpowiednich zapasów magazynowych i starania o uzupełnienie takowych częstokroć droższe materyały miejsce tańszych zastępować muszą. Z braku nitów, których kilogram najwyżej 14 centów kosztować może, używa się drobno gwintowanych śrubek, których połowa odcięta do „szmelcu“ odpada, a druga połowa za nit służy. Za śrubki zaś takie najtaniej po 40 centów za kilogram płacićby wypadało.

Awizerzy w ogrzewalni krakowskiej żalą się, że zamiast wypoczynku południowego muszą panom werkmistrzom biegać po obiady do ich mieszkań, albowiem panom tym za ciężko jest przejść się n. p. z kolei aż do rynku.

Odpowiedzialny redaktor: **Bachowski Wiktor.** Wydawca: **Szczepan Kurowski.** Nowa Drukarnia Jagiellońska w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.